

Z drugiego planu

AUTOR: JACEK WAKAR

Ostatnie przedstawienia Adama Orzechowskiego ukazują strategię dyrektora gdańskiego Wybrzeża: jako reżyser robić swoje, ale trzymając się z boku, służąc aktorom i publiczności.

■ Zaczę od drugiego spektaklu, bo nie pierwszy raz jadę do Wybrzeża w lecie i nieodmiennie nie mogę się nadziwić. W czasie, gdy większość polskich scen zamyka się na cztery spusty, gdański teatr gra na trzech, a może i pięciu scenach (wliczając tytuły koprodukowane wraz z Gdańskim Teatrem Szekspirowskim, ale wykonywane przez zespół Wybrzeża, oraz widowiska pokazywane pod gołym niebem w Pruszczu Gdańskim). W repertuarze ma kilkadziesiąt propozycji, w dodatku daje kolejne premiery. *Mary Page Marlowe* widziałem w lipcową niedzielę, zaraz po *Zakochanym Szekspirze* w GTS. Z nieba lał się żar, powietrze stało w miej-

scu, dzieci i dorośli szukali ulgi w kurtynie wodnej ustawionej na Targu Węglowym. Tymczasem na obu przedstawieniach komplet lub niemal komplet. Zapewne trójmiejska publiczność nawykła już, że ma teatr w lecie. Czy tak trudno przyzwyczać do tego widzów w innych miastach?

Na letnie premiery Wybrzeże nie wybiera dzieł najwyższego gatunkowego kalibru, co nie znaczy, iż uderza w same farsy. *Mary Page Marlowe* jest tego dobrą egzemplifikacją. *Sztuka* wyszła spod pióra Tracy'ego Lettsa – to jemu zawdzięczamy *Gorące lato w Oklahomie*, lepiej znane dzięki filmowi *Sierpień w hrab-*

stwie Osage z głównymi rolami Meryl Streep i Julii Roberts. W Polsce zagrano je m.in. w łódzkim Teatrze Jaracza i w warszawskim Studio. Z sukcesem, bo to znakomicie skrojony kawałek teatru dla wszystkich. Amerykański dramaturg zaś zęby zjadł na kinie, współpracując chociażby z autorem *Francuskiego łącznika* – Williamem Friedkinem. Widać to także w jego nowej *Sztuce*, gdyż *Mary Page Marlowe* aż prosi się o filmowy montaż, zderzający ze sobą migawki z kończącego się życia tytułowej bohaterki. Sporo elementów tej konwencji trafiło również do gdańskiego spektaklu Adama Orzechowskiego.

Mary Page Marlowe nie dorównuje jednak najgłośniejszemu dramatowi Lettsa. Sporo w nim fabularnych klisz, niemało dość oczywistych rozwiązań, niczym, potocznie rzecz nazywając, w obyczajówce rodem z filmów klasy B. Przesłanie też nie zwala z nóg odkrywcością – warto zastanowić się nad swoim życiem, docenić to, co pod bokiem, czasem zatrzymać się w codziennym biegu. Mary zrozumiała to dopiero pod koniec swoich dni, kiedy w szpitalu nadszedł czas pożegnania. Kobieta (Marzena Nieczuja-Urbańska) przewija więc w pamięci klatki z filmu swojego życia, a my stajemy się jego widzami. Spektakl składa się zatem z kilkunastu krótkich sekwencji, niejako bez początku i bez końca. Zostajemy wrzuceni w życie bohaterki, czasem w środek jakiegoś zdarzenia. Opuszczamy je często, nie doczekawszy pointy. Stąd nawiązanie do filmowego montażu całości. Tym razem Letts na jego podobieństwo buduje swoją opowieść. W oryginale dramat za tło ma zdarzenia z historii Stanów Zjednoczonych, ale reżyser gdańskiego przedstawienia niemal w całości ruguje lokalny kontekst dzieła, uniwersalizując je, choćby poprzez projekcje Michała Zygmunta, nie wprost

w alkoholowy nałóg, ukazane przez Sylwię Górę-Weber (Mary, 44 lata) i Ewę Jendrzewską (Mary, 50 lat). Fantastycznie krańcowe zagubienie i bezradność bohaterki gra Katarzyna Z. Michalska. Po premierze kontrowersje wzbudziła scena erotyczna między nią a Markiem Tyndą – jak na teatralne konwenanse mocna, niewiele pozostawiająca wyobraźni. Jestem przeciw niczym nieuzasadnionej scenicznej nagości, ale akurat ta sekwencja ukazana inaczej nie znaczyłaby tego samego. Michalska udowadnia natomiast, że ciało jest jej posłusznym instrumentem. Rzadka na polskich scenach sytuacja.

Całe przedstawienie nie powstałoby, gdyby Teatr Wybrzeże nie dysponował znakomitym zespołem aktorów. Mamy tu portret kobiety wykonany przez osiem świetnych aktorek – od nastoletniej Zuzanny Tyndy i nowego nabytku Wybrzeża Magdaleny Gorzelańczyk, poprzez Michalską, Górę-Weber, Chomicką-Szymaniak i Kaźmierczak, aż do weteranek: Jendrzewskiej, Marii Mielnikow-Krawczyk i Marzeny Nieczui-Urbańskiej. Jedne z nich grają więcej, inne na macierzystych scenach pojawiają się rzadziej. Dyrektor Orzechowski

budzącym jakichkolwiek pytań. W Wybrzeżu jednak nie chcieli akademii ani tym bardziej laurki. Stale współpracujący z Orzechowskim dramaturg Radosław Paczocha (spod jego ręki wyszedł świetny, wielokrotnie nagradzany *Broniewski*) napisał zatem tekst, w którym przegląda się siedem dekad historii, ale nie ma to nic wspólnego z rocznicowym słodzeniem.

„Dawno, dawno temu był sobie teatr” – tak można streścić narrację prowadzoną przez doświadczonych aktorów (m.in. Mirosław Krawczyk, Jerzy Gorzko, Cezary Rybiński), pogardliwie nazywanych przez młodych „staruchami”. Na takiej antynomii zbudowane jest przedstawienie Orzechowskiego – tworzone przez trzy pokolenia artystów trójmiejskiej sceny. Zatem z jednej strony „staruchy”, a z drugiej niedawni debiutanci (m.in. Marta Herman, Grzegorz Otrębski, Marcin Miodek, Jakub Mróz). Pomiędzy nimi zaś aktorzy wciąż młodzi, ale już w teatralnych i Wybrzeżowych bojach otrząskani – chociażby Katarzyna Dałek, Dorota Androsz, Katarzyna Z. Michalska, Piotr Biedroń, Michał Jaros. Nie wymieniam całej obsady widowiska nie z braku szacunku dla pozostałych wykonawców. *Urodziny...* to przedstawienie w stu procentach zespołowe, nie mogłoby istnieć bez któregośkolwiek z aktorów. Najważniejszy jest w nim jednak przepływ energii między nimi – bezwzględnie wykorzystany przez reżysera. Tyle że w żadnym razie nie służy on budowaniu nawet scenicznego, a co dopiero powieściowego wewnętrznego konfliktu.

Jedną z najważniejszych sekwencji jest rozmowa młodego aktora (Michał Jaros) ze starszym (Cezary Rybiński). Pierwszy zarzuca drugiemu rutynę, że gra tak samo od dziesięcioleci. Drugi odparowuje, że za jakiś czas on wejdzie w jego buty, bo pojawi się ktoś młodszy, bardziej rewolucyjny i konfrontacyjny. Teatr od zawsze jest sztafetą pokoleń i nią pozostanie.

Można byłoby przedstawienie Orzechowskiego nazwać plotką o Teatrze Wybrzeże, tyle że rzecz została ściśle udokumentowana – więcej w niej prawdy niż fantazji. Jego znaczenie wykracza zresztą poza jedno konkretne miejsce. *Urodziny...* pokazują dawne gwiazdy teatru (Jędrusik, Cybulski, Kobiela), które szybko zamieniły Trójmiasto na Warszawę i karierę w kinie. Niemniej zostały legendami także i Wybrzeża, niejako kosztem artystów splecionych z nim przez całe życie. Szczególnie mocno wypada swoisty apel ku czci artystów

Orzechowski podkreśla to wszystko, co w historii Mary najbardziej przejmujące – poczucie zbędności własnego życia, daremności starań, by stać się lepszą, bardziej empatyczną, czułą.

komentujące los bohaterki. Także dlatego inscenizacja zdaje się przewyższać literacki oryginał. Orzechowski podkreśla to wszystko, co w historii Mary najbardziej przejmujące – poczucie zbędności własnego życia, daremności starań, by stać się lepszą, bardziej empatyczną, czułą. Zarówno w dramacie, jak i wersji Teatru Wybrzeże nie ma osądzenia bohaterki, konstrukcja utworu uniemożliwia też jednoznaczne zrozumienie jej motywów.

Najpierw poznajemy Mary czterdziestoletnią (Monika Chomicka-Szymaniak), gdy rozstaje się z mężem i próbuje porozumieć z córką (Magdalena Gorzelańczyk). Ta sama Gorzelańczyk będzie Mary dwie dekady młodszą. Katarzyna Kaźmierczak stanie się Mary w wieku trzydziestu sześciu lat, ale też Robertą Marlowe, jej matką, bezlitośnie ćwiczącą córkę. Mocno wybrzmiewa osuwanie się bohaterki

znalazł więc tekst, w którym osiem wyrazistych kobiet mogło zagrać tę jedną. Dał swym aktorkom *Mary Page Marlowe* niejako w prezencie, a skorzystała i publiczność. Nie jest to jego najwybitniejsze przedstawienie, ale być takim nie mogło. Czasem ambicje reżyserskie muszą przegrać z powinnościami szefa.

Coś z takich powinności jest również w poprzedniej pracy Orzechowskiego. *Urodziny czyli ceremonie żałobne w czas radosnego święta* powstały przy okazji obchodów siedemdziesiątej rocznicy istnienia Teatru Wybrzeże w Trójmieście i pięćdziesiątej uruchomienia obecnej jego siedziby przy Targu Węglowym. Rocznicę zacna, uczczona specjalnymi publikacjami, odznaczeniami dla zasłużonych twórców i podobnymi uroczystymi okolicznościami. W większości przypadków podobne zdarzenie zostało uwznioślone spektaklem słusznym i nie-



fol. Dominik Werner / BezKliczu

związanych z Wybrzeżem: skandowany, niemal wiecowy, nieubłagany. Przejmująco fragment, gdy Wanda Stanisławska-Lothe (Dorota Androsz) zostaje brutalnie potraktowana przez trójkę, która strzeże porządku na spotkaniu celebrytów gdańskiej sceny. Nikt jej nie zna, prawie nikt z widowni o niej nie pamięta. Powtórzmy: teatr nie jest sprawiedliwy.

Urodziny... mieszczą w sobie kilka przeciwstawnych konwencji – bywają kameralne, a za chwilę spektakularne, wykorzystując maszynę sceny. Po całej opowieści oprowadza nas wspomniana trójka – Piotr Biedroń, Marcin Miodek, Jakub Mróz. Wprowadzają nowe wątki, zaczepiają publiczność, pełnią też funkcję zakłócających akcję psujów-przeszkadzaczy. Są jak ironiczna wersja greckiego chóru albo

niczym komentatorzy ze zdystansowanego świata Brechta. Bywają prześmiewczy, ale też bezprzykładnie okrutni. Brutalnie ćwiczą bohatera granego przez Krzysztofa Matuszewskiego, przypominając dla odmiany, że teatr to również fizyczny ból, czasem upokorzenie albo ośmieszenie. Tyle że wychodzi spod niego prawdziwe człowieczeństwo.

Może najważniejsze jest jednak uświadomienie, że dziedzictwo teatru, lub szerzej mówiąc – kultury, tworzy się tu i teraz, w ludziach. Iwo Gall był uczniem Juliusza Osterwy, Zygmunt Hübner – Bohdana Korzeniewskiego, Jerzy Goliński – Lidii Zamkow, Tadeusz Minc – Leona Schillera, Stanisław Hebanowski – Wilama Horzycy, Maciej Nowak – Zbigniewa Raszewskiego, Adam Orzechowski – Jerzego

Golińskiego... Wszyscy zbudowali wielowymiarową historię Teatru Wybrzeże. Oni nią byli i są – mówi jasno jubileuszowe przedstawienie.

Adam Orzechowski inscenizując je, celowo usuwa się na drugi plan. Daje mówić aktorom, uruchamia sceniczne sytuacje. Znakomite to przedstawienie paradoksalnie nosi jednak mocny reżyserski stempel. Tyle że nie jest to oczywiste, bo Orzechowski wzorem swego wielkiego poprzednika, Zygmunta Hübnera, w Gdańsku reżyseruje nie tylko poszczególne spektakle. On reżyseruje cały Teatr Wybrzeże. W czasach, gdy dobrzy dyrektorzy poszukiwani są ze świecą i najczęściej bezskutecznie, ma to dużo większe znaczenie niż chwilowe eksplozje osobistych sukcesów. ■